

Rozmowa z panią Teresą Strzałkowską przeprowadzona 2.04.1989
we wsi Protasy.

Nazywam się Teresa Strzałkowska, urodziłam się 7.09.1929 roku. Przed wojną mieszkałam we wsi Zacisze. Ojciec skończył szkołę rolniczą i dostał działkę z ziemi majątkowej. Wszyscy we wsi byli po szkole rolniczej, to była wzorowa wieś.

10 lutego rano przyszło po nas dwóch ludzi. Polak z Kamionki i sowiecki żołnierz. Kazali nam się ubierać, zabierać piły i siekiery. Nie pozwalali zabierać rzeczy osobistych, ale trochę wzięliśmy. Nie pozwolili brać ze sobą jedzenia. Wzięli nas na sanie i zawieźli do Żedni. Na stacji Żednia, koło pociągu był płacz i jęk. Załadowali nas w towarowe wagony. Pociąg był duży. W wagonie były przygotowane prycze, palił się piecyk. Ludzie siedzieli na podłodze, wyżej spały tylko dzieci, bo dla dorosłych nie było miejsca. Wagony były zamknięte. Jak pociąg zatrzymywał się, przychodzili i wzywali: "Dwa człowieka za wadoj, za uglom." Nie pamiętam co jedliśmy po drodze. W naszym wagonie nikt nie umarł, co było w innych nie wiem. Co jakiś czas wypuszczali nas niby do ubikacji, pod wagony. Pociąg jechał cały miesiąc.

Gdzie nas wyładowali nie wiem. Potem zawieźli nas ciężarówkami do miejscowości Toporek. Mieszkałiśmy tam w baraku. Na środku był korytarz, a po bokach kajuty. Nie było drzwi. W kajutach były tylko prycze. Piec stał na korytarzu. Na Toporku byliśmy tylko do jesieni. Mieliśmy tam stołówkę. Jedzenie początkowo nie bardzo nam smakowało - postna owsianka. Niepracującym dawali chyba pół kilograma, a pracującym kilogram chleba. Ludzie pracowali tam w lesie. Z niedożywienia umierało bardzo dużo dzieci. Umierali też dorośli. Ludzie chorowali

na malarię, dostawali wrzodów na nogach. Była tam chyba jakaś pielęgniarka. Nie było żadnej łaźni ani odwszalni. Wywieszaliśmy bieliznę na mróz, ale to nie było skuteczne. Ludzie chodzili do lasu jeść jagody, porzeczki.

Mieszkaliśmy w miejscu po więźniach. Były tam ścięte słupy, zdjęte druty. Nie wolno było wychodzić do lasu. Byliśmy pod nadzorem komendantury.

Na jesieni przyjechały fury. Zawieźli nas na Dolne Udaczne. Pozwolili zabrać swoje rzeczy. Wsadzili nas do długiego baraku, do kajuty. Tam już były drzwi. W każdej kajucie był piec. Polacy pracowali w lasach i w tartaku. Płacili tam za pracę, ale bardzo mało. Chleb był na kartki, to na te kartki zapracowali. Chleba dawali coraz mniej. Na końcu było tylko 100 gramów dla niepracującego i 400 dla pracującego. Ludzie chorowali i umierali. W lecie wyjedli blisko jagody i szli po 50 kilometry, żeby tych jagód nazbierać. Początkowo nie można było odchodzić od baraków. Później zdjęli komendanturę i już było wolno chodzić w las. Na Udacznej nie było już opieki lekarskiej.

Widziałam tam jak mężczyźni poszli do wojska Andersa. Odprawiali ich dziewczęta. Oni poszli luźniówką i śpiewali. Potem pojechaliśmy na Górną Udaczną, ale stamtąd nic nie pamiętam. Z Górnej Udacznej przejechaliśmy na swoje żądanie do Kwitka. Mieszkaliśmy tam w barakach. W Kwitku była polska szkoła. Nauczyciele prywatnie ją zorganizowali. Kilka razy szkoła szkoła była zamykana, później znów ją otwierali. Szkoła była z dwóch kajut w baraku. Nosiliśmy tam deski do pisania i drzewo do pieca. Nie było podręczników, nic. To była szkoła zorganizowana przez Polaków. Najpierw chyba im nie płacili. Później był rząd Wandy Wasilewskiej w Moskwie i pozwolili nas uczyć.

Wtedy był język polski i rosyjski, historia polska i rosyjska. W Kwitku ojciec pracował w straży ogniowej. Była tam stołówka. Długo trzeba było czekać, żeby się wcisnąć do środka. żeby być wcześniej, żeby coś dostać. Jakaś bałanda, jak mówili. Chleba dawali tam już po 100 i 400 gram. W Kwitku był też szpital. Widziałam też, jak tam szli do wojska kościuszkowców. Stali chłopcy gromadką, a jeden pobiegł za barak i płacze. Podobno w nocy był załadunek tych chłopców na pociąg i tam straszny był płacz i jak jak odjeżdżali. Chyba nie chcieli iść. Oni nie szli na ochotnika, mieli wezwania. Z naszego baraku poszedł chłopak, który był najstarszy w rodzinie. Rodzice pomierali i zostało młodsze rodzeństwo. Musiał ich zostawić i iść. Później przyszła wiadomość, że on nie żyje. Dziewczeta też brali do wojska. Niektóre chodzili, starali się, że trzeba w domu zostać, pomagać. Ale nie było na to żadnej ulgi. Rosjanie odnosili się tam do nas dobrze. Nie byli to ludzie miejscowe, tylko też wywiezione wcześniej. A władza? Naczelnik ciągle chodził i krzyczał.

Ludzie organizowali sobie jedzenie w lesie. Wiosną pierwsze jedzenie to była pokrzywa. Potem porzeczki, jagody. Można było rozkopać w tajgach kawałeczek ziemi, posadzić kartofle. Ale to wykradali. Przenosili ludzi ciągle z miejsca na miejsce, że ten kawałeczek ziemi trzeba było zostawić.

Miałam tam koleżankę, Kalinę. Ona tam została, bo jej rodzice są Ukraińcy. Kiedy w Rosji była rewolucja jej rodzice byli z pomieszczyków, kułaków i wyjechali do Czech. Tam skończyli szkołę leśną. Przyjechali do Polski i jej ojciec był nadleśniczym w Żedni. Nazywał się Miereszniczenko. Tak jak nas, wywieźli ich 10 lutego do Rosji. Ojciec Kaliny był tam zabrany do więzienia. Wrócił z więzienia do rodziny i zaczął pra-

cować. Wraczał z pracy i znalazłgniętego buraka. Niósł go do domu, ale po drodze jadał. Przyszedł do domu i upadł. Mój ojciec wybiegł i prosił ze straży konia. Ojca Maliny zawieźli do szpitala. Był tam doktor, ale nie było żadnego leczenia i on zmarł. Jego rodzina została w Rosji dlatego, że nie mogli wrócić. Byli Ukraińcami. Niektórzy z Polaków zapisywali się Białorusinami i też nie mogli wrócić. Takie spisy prowadziło NKWD. Kiedy mieszkałam w Kwitku, pracowałam w tartaku. Odrzucaliśmy obrzynki na wagonetkę i odwoziliśmy to w las. Tartak był w Toporku. Trzeba było bardzo daleko chodzić i nie dałam rady, zamęczyłam się. Było za ciężko. Ale jak pracowałam dawali większą kartkę, 400 gram chleba. W tartaku była brygada małoletnich, może dziesięć osób. Potem pracowałam na kałonach, u pracowników przy więźniach. Pracowałam w domu u doktora, patrzyłam dziecko. To było blisko więzienia. W więzieniu byli mężczyźni, kobiety i dzieci. Raz było słychać płacz kobiet. Tam były małe dzieci, chyba je matkom zabierano. To więzienie było w Niewielsku. Raz poszłam do swojej gospodyni, do więzienia, to więźniowie wybiegli do mnie. Chcieli ze mną rozmawiać, pytali mnie. Jak powiedziałam, że ja "Polaczka" to oni się bardzo interesowali. Nie wiedzieli skąd mogła tam być Polka. Dookoła więzienia były dwa wysokie drewniane płoty, pomiędzy nimi chodziły psy. Były też wieże, gdzie siedział strażnik. Więźniowie chodzili do pracy do lasu. Przychodziła do nas z więzienia jedna kobieta, która mogła już wychodzić, miała niedługo siedzieć. Była na dwa lata sądzona za zbieranie wiosną kłosów na polu. Byli też więźniowie, co potem pilnowali innych więźniów. Do więzienia nie wolno było wchodzić, weszłam tam przypadkiem. Pracowałam tam od wiosny do jesieni. W 1946 roku było zebranie i ogłoszono kto ma jechać do Pols-

ki, a kto zostaje na drugą grupę. Ci co zostawali bardzo płakali. Radowaliśmy się do wagonów, nikt niczego nie miał, i pojechaliśmy do Polski. Jechaliśmy cały miesiąc. To były wagony towarowe, ale drzwi i okna były otwarte. Było można wyjść po drodze, nawet do miasta, jak ktoś nie bał się, że mu pociąg odjedzie. Wagonów było 70 i ciągnęły je dwie lokomotywy. Było też trochę jedzenia. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że jedziemy do Polski. To był cały pociąg Polaków. Pamiętam, że w Nowosybirsku i Moskwie chodziliśmy do Pałacu. Staliśmy też długo w Swierdłowsku. Przejechaliśmy granicę w Terespolu. Tam dali nam po bochenku chleba na wagon. W wagonie było 30 osób. Potem moja rodzina pojechała do Białegostoku. Tu, ja z bratem, wsiedliśmy na jakąś furę i pojechaliśmy do domu. Ludzie na nas patrzyli. Brat był w wałonkach, ja w porwanym ubraniu. Przyjechaliśmy do rodziny, a oni nie poznali nas. Wróciliśmy na Zacisze, a tam jeszcze ludzie nie powracali, bo wszyscy byli wywiezieni, 16 rodzin. W domu nie było niczego, trzeba było wszystko od nowa zaczynać.

Z Syberii pamiętam wiersz-koledę. Napisała ją nauczycielka, pani Helena Dorywalska. Koleda była śpiewana na melodię "Wśród nocnej ciszy".

W ciszy głębokiej, w wielkiej pokorze

Czekamy twego przyjścia o Boże.

Pokłonić się chcemy tobie, Panię leżący we śłobie.

Daj nam Polskę, daj.

Przez cztery lata ku niej idziemy,

Ży i tęsknoty tobie niesiemy

Pożaluj nas Jezu Chryste, na intencje popatrz czyste.

Z martwych wzbudź nasz kraj.

A kiedy wrócim w ojczyste progi, czy to bogaty, czy to ubogi.

Wszędzie, gdzie będziem, o Panie . uczynim tobie mieszkanie.

Byś królował nam.

Spis nazwisk:

Dorywalska Helena

Miereszniczenko Kalina

Miereszniczenko, ojciec Kaliny

© ARCHIWUM WSCHODNIE